

Maciej Bernhardt

Z MIODOWEJ NA BRACKĄ

Opowieść
powstańca warszawskiego



Książka dostępna w sprzedaży w przystępnych cenach:
— w wersji papierowej i elektronicznej — na stronach portalu
Histmag.org <<http://histmag.org>>.

Jeśli korzystasz z publikacji z naruszeniem praw autorskich,
zachęcamy do zakupu oryginału i wsparcia jej twórców.

Maciej Bernhardt

Z Miodowej na Bracką

Opowieść powstańca warszawskiego

Kraków 2012

[Kup książkę](#)

Redakcja językowa i merytoryczna
Kamil Janicki

Projekt okładki, skład i łamanie
Piotr Pielach

Marketing, koordynacja działań promocyjnych
Michał Świgoń

Wszystkie wykorzystane fotografie zostały udostępnione przez autora
i pochodzą z jego prywatnych zbiorów.

Z Miodowej na Bracką. Opowieść powstańca warszawskiego
Copyright © 2009 by i-Press Piotr Pielach
Copyright © 2012 by Promohistoria Michał Świgoń
All rights reserved

ISBN: 978-83-930226-5-6

Wydanie elektroniczne
Kraków 2012

i-Press Piotr Pielach
www: <http://i-press.pl>

Portal internetowy „Histmag.org”
e-mail: redakcja@histmag.org
www: <http://histmag.org>

Wybuch Powstanie

Na pierwszą zbiórkę alarmową w dniu 28 lipca 1944 roku (piątek) stawiała się cała nasza sekcja, prócz Andrzeja Krupińskiego. Chyba były jakieś kłopoty z jego zawiadomieniem. Nie pamiętam jednak szczegółów. Nie pamiętam też kto mnie zawiadomił, ani pożegnania z Rodzicami.

Miejscem zbiórki była mała czynszowa kamienica, chyba dwupiętrowa, przy ulicy Podleśnej, na dolnym Marymoncie, w pobliżu ogrodzonego lasu ЦИWF (obecnie АWF). Spotkało się nas tam kilkudziesięciu stłoczonych w niewielkich piwnicach. Część przygotowywała butelki zapalające przeznaczone do walki z czołgami. Przelewali ostrożnie benzynę z beczki do dzbanków, a z nich do butelek „monopolek”. Butelki te następnie były dokładnie korkowane, lakowane i oklejane papierem nasyonym substancją, która w zetknięciu z benzyną powodowała — jak się później okazało nie zawsze — samoczynne jej zapalenie.

Cała ta robota była dość niebezpieczna w związku z dużą liczbą ludzi, stłoczonych, napiętych i zdenerwowanych, kręcących się zupełnie niepotrzebnie. Do tego po północy rozpoczął się nalot radziecki i jak zwykle bomby sypały się gęsto i zupełnie przypadkowo. Trudno było nawet domyślić się w co celowali. Dwie bomby wybuchły nieprzyjemnie blisko.

Na strychu budynku siedzieli obserwatorzy, którzy mieli nas uprzedzić przed wizytą niepożądanych gości. Na szczęście nie zauważyli żadnych ruchów oddziałów niemieckich. Rano otrzymaliśmy rozkaz rozejścia się do domów i pozostawania w pogotowiu alarmowym. Dla wielu z nas rozkaz ten stworzył naprawdę trudną sytuację. W miejscu zamieszkania byli już „spaleni” i nie bardzo mieli gdzie wracać. Niektórzy wydobyli przechowywaną specjalnie na tę okazję „prywatną” broń i mieli kłopoty z jej ponownym ukryciem, a obawiali się — i słusznie — oddać pistolet służbie uzbrojenia. Wobec wielkich niedoborów broni, szansa jej odzyskania przy następnym alarmie była nikła.

Wróciłem do domu z Hanką Rychłowską, moją narzeczoną. Rodzice przywitali nas jakbyśmy wracali z długiej i ciężkiej kampanii. Bałem się siedzieć w domu, gdyż — jak mówiła nasza gosposia Marynia — „cała kamienica wiedziała, że syn pana doktora poszedł do leśnych”. Na szczęście Niemcy nie mieli głowy do zajmowania się drobiazgami w rodzaju wyłapywania pojedynczych, zdekonspirowanych żołnierzy, a konfidenci niemieccy i nadgorliwi „granatowi” policjanci znikli z horyzontu i zapewne szykowali sobie alibi na „po wojnie” lub po prostu wiali razem z Niemcami.

W niedzielę 30 lipca wczesnym popołudniem, przy pięknej, słonecznej pogodzie, poszedłem z Hanką przejść się po mieście. Nie był to zapewne najmądrzejszy pomysł. Nie byłem jednak w stanie wysiedzieć w domu.

Pamiętam dokładnie trasę naszego spaceru. Wyszliśmy z domu przy ulicy Miodowej i szliśmy Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem. Skrzyżowanie Alei Jerozolimskich i Nowego Świata obstawione było wojskiem. Wolałem nie sprawdzać co się tam dzieje. Skręciliśmy w Chmielną i przez Bracką doszliśmy do Placu Trzech Krzyży. Mimo pięknej pogody ulice były prawie zupełnie wyludnione. Na placu wylot Alei Ujazdowskich zastawiony był kozłami z drutu kolczastego i workami z piaskiem. Za nimi widać było samochód

pancerny, a dalej budy żandarmerii. Nie było najmniejszego sensu pchać się dalej. Skręciliśmy w Żurawią i przez Kruczą, Szpitalną, Plac Napoleona, Świętokrzyską, Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, przez nikogo nie niepokojeni, wróciliśmy do domu.

Podobno w poprzednich dniach Niemcy ewakuowali się pośpiesznie z hotelu „Bristol”, wyrzucając z okien swoje rzeczy wprost na stojące na chodniku ciężarówkę. Trzydziestego lipca nic podobnego się nie działo. Hotel był obstawiony kozłami z drutem kolczastym, okna na parterze były częściowo zasłonięte workami z piaskiem. Przed hotelem stały wzmocnione posterunki, ale nie było śladów paniki, czy pośpiesznej ewakuacji.

W domu byliśmy koło godziny piątej, może wpół do szóstej. Do kolacji siedzieliśmy w stołowym pokoju i rozmawialiśmy z Mamą, która spokojnie robiła porządki w szafkach kredensu. Nie przypominam sobie gdzie był Ojciec. Być może przyjmował pacjenta. Czasami zdarzało się to także i w niedzielę. Raczej zszedł chyba na dół do apteki, na pogawędkę z jej właścicielem, magistrem Dobrzańskim.

Zaproponowałem, aby Hanka została u nas na noc. Przecież spodziewaliśmy się alarmu w każdej chwili. Mógł być także wcześniej rano, a to oznaczałoby kłopoty z powiadomieniem. Uprzedzano nas, aby starać się nie zawiadamiać telefonicznie. Telefony mogły zostać wyłączone bez uprzedzenia, a ponadto na pewno były na podsłuchu i nagły, gwałtowny wzrost liczby rozmów musiały wzbudzić podejrzenia u Niemców.

Mama zgodziła się tym razem bez trudności, choć nie lubiła, gdy Hanka nocowała u nas. Nie miała nic przeciw niej, ale uważała, że to nie wypada, aby panna nocowała w domu narzeczonego. Chciałem zatelefonować do pani Rychłowskiej, aby ją zawiadomić, że Hanka nie wróci na noc do domu. Mama wyjęła mi jednak słuchawkę z ręki, mówiąc, że jej bardziej wypada przeprowadzić taką rozmowę.

Kolacja była, jak zwykle, około siódmej. Ojciec przyniósł najświeższe i „murowane” wiadomości z frontu, Nastrój był dobry,

rozmowa toczyła się, jak zwykle, o codziennych wydarzeniach i kłopotach oraz oczywiście, o sytuacji na froncie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jest to moja ostatnia kolacja z Hanką i w domu rodzinnym.

Rozmawialiśmy jeszcze długo po kolacji. Później Hanka poszła do mego pokoju, który jej odstępowałem zawsze, gdy nocowała u nas. Mama kategorycznie zażądała — przy pierwszym noclegu Hanki u nas — abym nie śmiał wejść do swego pokoju, gdy nocuje w nim Hanka. Zakaz ten był zasadniczo przestrzegany, choć prawie zawsze okazywało się, że jakaś rzecz z mego pokoju była mi absolutnie niezbędna i musiałem koniecznie na chwilę wejść.

Za pierwszym razem Mama zdecydowanie powiedziała: Ja ci to przyniosę. Powiedz tylko dokładnie co to ma być i gdzie się znajduje. Później patrzyła tylko na mnie z surową miną i stwierdzała, że ostatnio jestem coraz bardziej roztargniony i ciągle czegoś zapominam ze swego pokoju, po czym dodawała: „Masz pół minuty. Chyba nie chcesz, abym ci pomogła szukać”. Pół minuty to mało, można jednak powiedzieć „dobranoc”...

Nie pamiętam następnego dnia (31 lipca). Chyba nic specjalnego się nie działo. Wydaje mi się, ale być może było to kilka dni wcześniej, że właśnie wtedy namówiłem Mamę, że warto na wszelki wypadek dokupić niepsującej się żywności. Mama była przeciwniczką chomikowania i robienia wielkich zapasów. Tym razem się zgodziła, ale chyba głównie dlatego, abym się czymś zajął. Wiem, że kupowałem razem z Hanką na Podwalu i ulicy Piekarskiej jakieś kasze, olej, cebulę, a także świece i baterie do latarki.

Siedzieliśmy z Mamą i Hanką przy obiedzie. Ojciec był w swym gabinecie. Jakiś niespodziewany pacjent oderwał go od stołu. Przy drugim daniu wpadł do nas, dosłownie jak bomba, Jurek Miller, dowódca naszej sekcji. Spieszył się potwornie, bo miał jeszcze wiele spraw do załatwienia. Kazał nam jak najprędzej stawić się na umówiony punkt zborny.

Nie dokończyłem obiadu; szybko przebrałem się w przygotowane na tą okazję ubranie: solidne, cywilne spodnie, bluzę przysposobienia wojskowego z kompletem dystynkcji i oficerskim pasem głównym (tę samą, którą miałem we wrześniu 1939 roku)! Na epoletach bluzy miałem numer 21, przedwojennego pułku piechoty, któremu podlegał nasz hufiec Przysposobienia Wojskowego.

Solidne nowe wojskowe niemieckie buty kupiłem już kilka miesięcy wcześniej na Kercelaku. Moje dotychczasowe wojenne doświadczenia w pełni potwierdzały znaną mi opinię, że najważniejszą częścią munduru żołnierza są buty. Wszystkie inne części ubioru dają się czymś zastąpić lub względnie łatwo „zorganizować”. Z butami jest najtrudniej. A niewygodne, nierozchodzone buty to — jak mawiał nasz sierżant z PW — gorzej niż zacinający się karabin. Wyjąłem tylko z nich gwoździe, słusznie rozumując, że nie powinny robić niepotrzebego hałasu.

Na bluzę PW nałożyłem szary, zniszczony, letni płaszcz. Na ramieniu przygotowana zawczasu torba ze zmianą bielizny, swetrem, ręcznikiem, przyborami do golenia, podręczną mini-apteczką (przygotowaną przez Ojca), do tego jeszcze menażka, manierka i tzw. przybornik (nóż, widelec i łyżka we wspólnym uchwycie) — wszystko z wyposażenia PW oraz płaska latarka elektryczna i kozik ogrodniczy, znakomity nóż przydający się do wszystkiego.

Mama zapukała do gabinetu i wywołała Ojca. Pamiętam jak wybiegł z gabinetu w rozwianym fartuchu. Był zły, bo nikt nie śmiał mu przeszkadzać w przyjmowaniu pacjentów. Pożegnał się ze mną nieco oschle — nie lubił okazywać swoich uczuć. Serdecznie natomiast pożegnał się z Hanką, w stosunku do której utrzymywał dotychczas wyraźną rezerwę, choć zawsze był wobec niej bardzo uprzejmy. Zdawałem sobie sprawę z tego, że Powstanie nie będzie zabawą, choć w najczarniejszych przypuszczeniach nie podejrzewałem jego rzeczywistego przebiegu. Ojciec był ciężko chory na serce. Liczyłem się z tym, że nie ma dużych szans na przeżycie emocji Powstania.

Mama trzymała twardą ręką rządy w domu. Cechowała ją duża odporność psychiczna, którą nie raz podziwiałem podczas różnych dramatycznych zdarzeń okupacyjnych. Tym razem załamała się i rozpłakała. Podeszła do swej toaletki i wyjęła z niej medalik i „święty” obrazek i dała mi je. Obrazek, zniszczony przez długotrwałe noszenie w portfelu, lecz starannie oprawiony, stoi dziś w moim domu na honorowym miejscu. Wyjęła jeszcze jeden ze swych pierścionków z pięknym dużym brylantem i koniecznie chciała, abym go wziął. Odmówiłem; pamiętam dokładnie swoje słowa: „ja sobie zawsze dam jakoś radę, a wam może się jeszcze bardzo przydać. Nie wiadomo co was czeka”.

Mama płakała, namawiała mnie, abym wziął lepszy letni płaszcz, ten stary taki zniszczony. „Mamo, przecież on jest bardzo jasny, będę w nim zbyt dobrze widoczny, lepszy ten stary”. Mama wciąż płakała. Nigdy przedtem nie widziałem jej w takim stanie. Chyba przeczuwała, że już nigdy się nie zobaczymy.

Mama zginęła wraz z przybyłymi do naszego domu po kilku dniach Powstania, moją siostrą Danutą, jej małym synkiem Jackiem oraz matką Hanki — Marią Rychłowską — 26 sierpnia, gdy dom nasz został zbombardowany. Ojciec opatrywał w tym czasie rannego w piwnicy w drugiej oficynie i dzięki temu ocalał. Nasza gospośnia była w sąsiednim domu w piwnicy, gdzie była studnia artezyjska; poszła tam po wodę i też ocalała.

Pożegnanie przeciągało się. Bałem się, że i ja się za chwilę rozkleję. Chcąc tego uniknąć zrobiłem się nagle nieco szorstki i cyniczny. Do dziś nie mogę sobie tego darować. Trzeba było wziąć jasny płaszcz i choćby zostawić go na pierwszej kwaterze. Dziś wiem, że pierścionek też nie był już nikomu niestety potrzebny. Wtedy uważałem, że nie mam prawa zabierać go Mamie. Ale pewno byłoby jej lżej, gdyby wiedziała, że mam od niej coś wartościowego, co może mnie też uratować w jakiejś krytycznej sytuacji. Inna rzecz, że gdybym go nosił na

palcu to i tak straciłbym go w niewoli, jak straciłem zegarek, zerwany mi z ręki przez kulturtregera w mundurze ss.

Z Hanką Mama pożegnała się serdecznie, ale jakby nieobecna. Taką ją widziałem po raz ostatni.

Ulica Podleśna

Wsiadliśmy z Hanką w tramwaj na przystanku na rogu Miodowej i Kapitulnej. Bez przeszkód dojechaliśmy na Marymont, a następnie doszliśmy na ulicę Podleśną. Punkt zbiórki był ten sam, co parę dni wcześniej. Przeczyło to elementarnym zasadom konspiracji, ale widocznie nie było to już istotne. Nasza sekcja zebrała się w komplecie wczesnym popołudniem. Nie bardzo rozumiałem dlaczego zbierano nas w takim pośpiechu. Na punkcie zbornym nic się nie działo. Kole-dzy z innych drużyn przychodzili jeszcze do późnego wieczora, część już po godzinie policyjnej.

Noc przeszła spokojnie. Organizacja była sprawniejsza niż poprzednio. Wydano nam gorącą herbatę, chleb i zupę. Nie wiem, czy była to inicjatywa mieszkańców tego domu, czy też działały już nasze służby kwatermistrzowskie. Czuło się, że wybuch Powstania, to kwestia najbliższych godzin.

Nasza sekcja została zakwaterowana nie w piwnicy, a w pomieszczeniu, chyba na pierwszym piętrze, przypominającym werandę. Było nam dość zimno. Pamiętam, że wyciągnąłem sweter ze swej torby. Hanka też się przebrała. Siedzieliśmy na ławce okryci moim płaszczem. Rano rozdano nam biało-czerwone opaski z nadrukowanym orłem, literami WP (Wojsko Polskie) i numerami plutonu (nasz miał numer 237) oraz legitymacje Armii Krajowej. Poznawaliśmy kolegów, dowódców, spotykaliśmy znajomych, o których wiedzieliśmy, że należą do konspiracji (a raczej, że nie jest możliwe, aby nie należeli), ale nie wiedzieliśmy, że są w tej samej kompanii, czy nawet plutonie.

Około godziny pierwszej po południu dowódca naszego plutonu por. „Dunin” wezwał mnie, Waldka Misorowskiego („Papawer”) i jeszcze kogoś z naszej sekcji, chyba Zbyszka Przęstępskiego („Gozdawa”). Gdyby to był Jurek Miller z urzędu objąłby dowództwo, a ponadto jego energia i wybitna indywidualność musiałyby spowodować, że udział jego utrwaliłby się w mej pamięci.

Dunin wyznaczył mnie na dowódcę tej poważnej jednostki bojowej i wydał nam polecenie dotarcia na Plac Wilsona do sklepu ze sprzętem ogrodniczym i wyrobami żelaznymi (obecnie mieszczą się w tym miejscu delikatesy) i zgłoszenia się tam z karteczką o „nijakiej” treści, którą mi właśnie dał, do pana o pseudonimie, którego dziś już nie pamiętam. Mieliśmy tam otrzymać broń, którą należało dostarczyć na ulicę Podleśną na naszą kwaterę. Mieliśmy jechać jeszcze po cywilnemu i surowo nam przykazano, aby nie dać się wmieszać w żadną przypadkową akcję.

Wsiadliśmy do tramwaju we trójkę. Był to wóz starego typu o otwartych platformach, prawie zupełnie pusty. Jechało zaledwie kilku pasażerów. Stanęliśmy na przedniej, pustej, platformie przeznaczony „Nur für Deutsche”. Na drugim, czy trzecim przystanku wsiadł na naszą platformę mocno zalany żołnierz w mundurze lotniczym z odznakami artylerii przeciwlotniczej. Miał trochę kłopotów z utrzymaniem się w pozycji pionowej, a w kaburze szturmowe parabelum z długą lufą; nasze marzenie z czasów okupacji!

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że rozbrojenie pijanego szkopa nie sprawiłoby nam żadnych trudności. Ale otrzymany rozkaz był dla nas święty i choć z żalem, trzeba było zrezygnować z łatwego i bardzo potrzebnego łupu. Szkop musiał coś wyczuć, a może nie wytrzymał naszych łakomych spojrzeń (wszyscy trzej pożeraliśmy wzrokiem jego pistolet), gdyż na najbliższym przystanku wysiadł i oglądał się niepewnie za siebie.



*Fot. 8. Koledzy autora z Zawodowej Szkoły Technicznej,
na pierwszym planie Stanisław Brzosko.
Fotografia wykonana na pętli tramwajowej
na ulicy Rakowieckiej w roku 1940 lub 1941.*

Do sklepu na Placu Wilsona dojechaliśmy bez przeszkód. Sklep był dosłownie zavalony różnego rodzaju łopatami, grabiami, kilofami, łańcuchami itp. Pana, którego pseudonimu nie pamiętam, nie musieliśmy szukać. Podszedł do nas sam. Nie miał wątpliwości kto i po co przyszedł. Był to postawny mężczyzna o twarzy południowca i czarnych, lekko szpakowatych włosach. Później zobaczyłem go w Kampinosie jako majora „Serba” (po przejściu na Żoliborz zmienił pseudo na „Żubr”).

Otrzymaliśmy od niego dwa karabiny polskie w idealnym stanie, jeszcze tłuste od resztek smaru, rozebrane, aby ułatwić ich transport oraz cztery pistolety: jedną FN-kę kalibru 7,65, dwie mocno zniszczone „szóstki” i przedpotopową „dziewiątkę”. Do tego wszystkiego trochę amunicji. Kilka magazynków z nabojami do kb oraz garść różnej

amunicji pistoletowej. Jak się później okazało, ta ostatnia była częściowo niesprawna.

FN-ką „zaopiekowałem się” sam. Wybrałem kilkanaście sztuk amunicji kalibru 7,65, załadowałem siedem sztuk do magazynka, a resztę wsadziłem do kieszeni. Karabiny nieśliśmy rozebrane, zawinięte w szary papier. Pozostałe trzy pistolety wsadzili do kieszeni koledzy.

Po wyjściu ze sklepu, zanim jeszcze doszliśmy do przystanku tramwajowego, usłyszeliśmy pierwsze, dość dalekie strzały. Jak wiadomo, na Żoliborzu walki wybuchły przedwcześnie. Żandarmeria natknęła się przypadkowo na oddziały harcerskie przenoszące broń.

W tej sytuacji zrezygnowaliśmy z jazdy tramwajem. Nie było go zresztą widać na horyzoncie. Skręciliśmy z ulicy w ogródki działkowe. Założyliśmy opaski powstańcze, zmontowaliśmy i załadowaliśmy karabiny i ruszyliśmy na piechotę w stronę ulicy Podleśnej.

Dostaliśmy się w daleki i na szczęście niecelny ogień karabinowy. Klucząc przez zupełnie nieznaną nam teren, jakieś ogródki działkowe, podwórza biednych marymonckich domków, posuwaliśmy się „na nos” w kierunku ulicy Podleśnej, dostając się raz po raz w ogień. Traciliśmy powoli nadzieję na to, że uda nam się dołączyć do naszych kolegów.

Sytuacja stawała się coraz gorsza. Odgłosy strzałów dochodziły ze wszystkich stron, ale nigdzie nie widzieliśmy oddziałów powstańczych. Słyszeliśmy serie broni maszynowej, wybuchy granatów. Pociski świstały nam nad głowami, ale nie mogliśmy się zorientować, skąd do nas strzelają. Utykaliśmy do tego, w zupełnie nieznanym terenie, na jakiś płotach, murkach, podwórzach bez wyjścia. Wreszcie, gdy już zupełnie nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, zobaczyliśmy za rogiem ulicy „nasz” dom na Podleśnej. Właśnie wychodzili z niego gęsiego nasi koledzy.

Dowódca kompanii, porucznik „Starza” na wszelki wypadek obrugał nas za spóźnienie, tak jakbyśmy zrobili sobie spacer dla

przyjemności. Przynieśliśmy jednak broń, której w oddziale było nieprawdopodobnie mało. Nasza była dosłownie na wagę złota. Przekazaliśmy ją „Starzy”. Ja zupełnie „zapomniałem” o swojej siódemce, choć niemiłosiernie gniotła mnie zatknięta z tyłu za pasek od spodni. Na szczęście nikt nie pytał o żadne dokumenty dotyczące broni, nie żądano też żadnych meldunków.

Oddział przeskakiwał małymi grupkami ulicę pod ostrzałem z CIWF-u i biegiem przesuwiał się w kierunku Górnego Marymon-tu. Gdybyśmy przyszli dosłownie 5–10 minut później, nie byłoby żadnego śladu po naszym oddziale i chyba nikt nie potrafiłby nam udzielić informacji gdzie go szukać. Może szkoda, że nie spóźniliśmy się, może pozostaliby wtedy przy życiu wszyscy moi najbliżsi: Hanka, koledzy i przyjaciele...

Przed Powstaniem zostaliśmy dość dokładnie zapoznani z naszym pierwszym zadaniem bojowym. Mieliśmy opanować teren i budynki CIWF-u, w których kwaterowali Niemcy i zamienili w rejon umocniony. Jedyłą, teoretyczną szansą zdobycia tego rejonu było działanie przez zaskoczenie. O zaskoczeniu nie było już mowy. Strzelanina na Żoliborzu i Marymoncie trwała od co najmniej dwóch godzin. Do tego uzbrojenie naszej kompanii było praktycznie żadne: kilka karabinów, dwa czy trzy pistolety maszynowe i może ze dwadzieścia pistoletów. Jedyne granatów było sporo. Przeważnie tzw. „sidolówki”, produkcji konspiracyjnej. Niezawodne i skuteczne, jako granaty zaczepne, ale mało przydatne w obronie. Atakowanie naszymi siłami i to bez zaskoczenia rejonu umocnionego, obejmującego duży, częściowo zalesiony teren, mógł zamierzyć jedynie jakiś nieodpowiedzialny fantasta.

Nasza kompania nie wykonywała swego zadania i dzięki temu nie ponieśliśmy niepotrzebnych strat. Pozostałe natomiast atakowały CIWF od strony głównego wejścia i wartowni. Skutek był do przewidzenia: duże straty i brak powodzenia.

Ataki z różnych stron miały zdeorientować Niemców i zmusić ich do podzielenia swych sił. Dawały też większe prawdopodobieństwo, że któryś z nich się powiedzie. Założenie było teoretycznie słuszne, tylko nie przy takim stosunku sił, uzbrojenia i braku zaskoczenia.

Wędrowaliśmy po górnym Marymoncie i Żoliborzu zupełnie nieznanymi, dla mnie, uliczkami, przeskakiwaliśmy jakieś płoty. Trwało to do wieczora. Nikt z nas nie wiedział dokąd i po co idziemy.

Przed wieczorem mieliśmy pierwszego rannego. „Władek” (Władysław Brzozowski) z naszej sekcji, wystawił zza murku za jakim się schował, gdy dostaliśmy się w niespodziewany, ostrzał z broni maszynowej, dosłownie koniec łokcia i pocisk strzaskał mu staw łokciowy. Był to czysty przypadek, gdyż chyba nawet strzelec wyborowy nie byłby w stanie trafić do tak małego celu, tym bardziej jeszcze, że strzelano do nas z dość dużej odległości.

Byłem obok Władka, gdy został ranny i w pierwszej chwili nie zrozumiałem, co się stało. Wydawało mi się, że uderzył się łokciem o mur i za bardzo się rozczuła nad bolesnym, ale niegroźnym zdarzeniem. Prawda była jednak zupełnie inna. Rana była niegroźna dla życia, ale bardzo złośliwa, zwłaszcza w warunkach wojennych. Pomimo starannej opieki w szpitalu powstańczym (w pierwszych dniach było to jeszcze możliwe) Władkowi pozostała sztywna ręka łokciu na zawsze. Być może zranienie uratowało mu życie, gdyż dzięki niemu uniknął masakry pod Boernerowem.

Spis treści

Zamiast wstępu.....	9
Ulica Miodowa	13
Młodość między wojnami	51
Wrzesień 1939	89
Okupacja	119
Konspiracja	141
Nauka podczas wojny	167
Wybuch Powstanie	187
Boernerów.....	199
Dworzec Gdański. Ranny na Żoliborzu	221
Po Powstaniu. Niewola i ucieczka	235
Kraków. Znow w konspiracji	249
Bezdomni. Wielgomłyny	287
Powrót do Warszawy.....	307



Maciej Bernhardt — urodził się 16 stycznia 1923 roku w Warszawie w rodzinie inteligenckiej. Uczestniczył w kampanii wrześniowej, wpierrw w obstudze Centralnej Składnicy Meldunkowej Obrony Przeciwlotniczej, a następnie, po wędrówce na wschód Polski, w oddziałach Lubelskiego Batalionu Ochotniczego. Uczeń legalnie działających pod okupacją: Szkoły Wawelberga i Rotwanda (1940–1942) oraz Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej (1942–1944). Zaangażowany w pracę konspiracyjną, od jesieni 1940 do wiosny 1942 roku w Narodowych Siłach Zbrojnych, następnie w Armii Krajowej. Używał pseudonimów „Zdzistaw” i „Zdzich”.

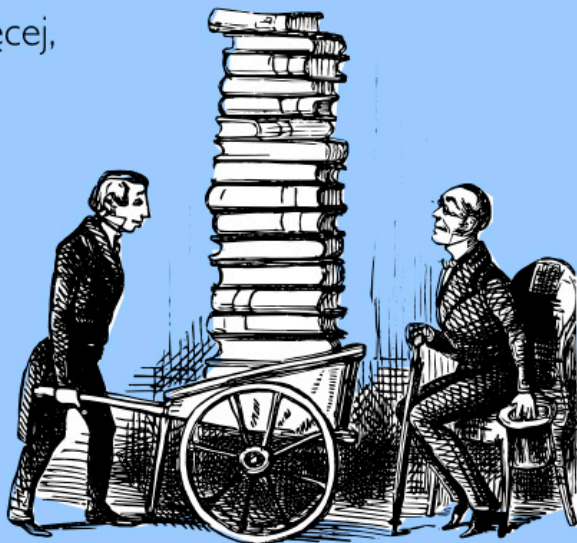
Podczas powstania służył w 237 plutonie II kompanii batalionu „Serb” (później „Żubr”) III Obwodu (Żoliborz — „Żywiciel”). Przeżył masakrę pod Boernerowem 2 sierpnia, kiedy zginęło 70 procent żołnierzy 237 plutonu. Wśród poległych byli jego najbliżsi przyjaciele oraz narzeczona — Hanna Rychtowska. Brał udział m.in. w drugim ataku na Dworzec Gdański oraz w obronie „Olejarni” na Marymoncie i reducy „Straż Ogniowa”. Kontuzjowany 14 września, ranny w ramię 30 września. Pod gruzami zbombardowanego domu przy ulicy Miodowej 9 zginęła jego matka oraz siostra i jej półtoraroczny synek. Po zakończeniu walk został internowany, ale udało mu się uciec z niewoli i ponownie dołączyć do konspiracji. Po wojnie podjął pracę naukową. W 1987 roku uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego i został dyrektorem Instytutu Transportu Samochodowego. Aktywny zawodowo do 2002 roku.

Jedyna w swoim rodzaju opowieść o życiu przed wojną, codzienności pod okupacją i powstaniu warszawskim. Relacja niezwykłego człowieka, który w sposób szczerzy i bezpośredni opowiada o prawdziwych ludziach i emocjach. O perypetiach, które wydają się nieprawdopodobne. Tysiące czytelników w internecie. Teraz w pełnej wersji drukowanej.

Dodatkowe informacje o książce
znajdą Państwo na stronie:
<http://powstaniewarszawskie.histmag.org>



Wzięłbym więcej,
ale miałem
słaby transfer.



Kupuj świetne historyczne e-booki i wspieraj ulubiony portal.

Każdego miesiąca do sklepu Histmaga trafiają nowe, ciekawe e-booki. Dochód z ich sprzedaży wspiera działalność pierwszego polskiego portalu historycznego. Po to, by zawsze był ktoś, kto mówi, jak było. Sprawdź dostępne tytuły pod adresem <http://histmag.org/sklep>



[Kup książki](#)